Dodatek nadzwyczajny do „Wielkopolanina".

OGNISKO DOMOWE.

Nr. 39. | Ognisko wychodzi raz w tydzień Cena pojedynczego nr. 5 fen. | Poznań, dnia 25 września | Abonenci WIELKOPOLANINA otrzymają pismo to bezpłatnie. | 1910.

Na wiejskim cmentarzu.

Skreślił

Antoni Anczykowski.

Znalazłem się pewnego letniego wieczora na wiejskim cmentarzu. Ostatnie promienie zachodzącego słońca złociły wierzchołki drzew, okalających skromne miejsce wiecznego spoczynku, a w powietrzu, przesyconem balsamiczną wonią lasów i pól, czuć już było chłodne, ożywcze tchnienie nocy.

Z wioski, położonej nieopodal, dochodził gwar i hałas, na jaki składały się rozmaite głosy zwierząt, krzyk ptactwa, wesołe śpiewy i dźwięczne śmiechy spieszących do swych zagród dziewcząt i parobczaków.

Jednem słowem, wrzało życie w całej pełni, a echo tego hałaśliwego życia tu, w smutnym przybytku śmierci, brzmiało jak złowroga nuta ironii i szyderstwa.

Poważny, tajemniczy szum drzew cmentarnych, grobowa niczem nie zakłócona cisza, smutne, przygnębiające robi na przybyszu wrażenie, bez względu na to, czy w śmierci widzi on przejście w inne istnienie, w idealnych, pozaświatowych krainach, czy też spodziewa się umrzeć człowiekiem, a czucie swoje przelać w niewinny kwiatek, o cudnej barwie i woni.

Gdzie tylko powiedziesz wzrokiem, wszystko ci tutaj przywodzi na pamięć słowa poety:

„Ach! na tym świecie śmierć wszystko zmiecie."

Gdzie stąpniesz, spotykasz kawałek białego piszczela i mimowolnie usuwasz nogę, przejęty uszanowaniem, bo zdaje ci się, że w tej maleńkiej spróchniałej kostce spoczywa jeszcze ukryta iskierka życia, które z niej na zawsze uleciało.

I smutno, tęskno robi ci się w duszy.

Bierze cię chęć podnieść z ziemi tę nędzną resztkę żyjącej niegdyś całości, usiąść tu, pomiędzy grobami i dumać nad tem, co dla nas jest wieczną tajemnicą bytu.

Z każdej garstki tej pulchnej ziemi, po której stąpasz roztargniony, możesz wysnuć historyę nicości ludzkiego życia i wspaniały obraz przyrody.

Ileż to tajemnic kryje w sobie piasczysty ten pagórek?

Gwarzą zapewne o nich drzewa, co gęstemi konary bronią zazdrośnie tych miejsc ponurych, aby promienie słońca nie wniosły tu uśmiech życia.

I wstrzymujesz oddech; chciałbyś duszą podsłuchać legendy śmierci.

Cyt! Coś szepcze brzoza płacząca, tuląc w objęciach drewniany, omszały krzyżyk.

Nie, to było lodowate tchnienie ducha zapomnienia, co się unosi nad mogiłami.

* * *

Wtem jakiś głos ludzki, przedarłszy się przez gęste drzew konary, obudził mię z zadumy i zdradził czyjąś obecność na cmentarzu.

Zaciekawiony spojrzałem dokoła.

Za chwilę do uszu mych doleciały wyrazy piosenki, nuconej cichym ochrypłym głosem:

Kiedy będziesz syna miała uj, uj, uj, uj;
Czem go będziesz powijała ach ty Boże mój?
Ma braciszek pas jedwabny
Będzie powijaczek ładny.

Dziwna ta piosenka śpiewaną była na ponurą, iście cmentarną nutę.

— A nie pójdziesz ty ztąd, czarownico jakaś! — zagrzmiał inny, ostry głos nieopodal odemnie.

Odpowiedzią na to był dziki, straszny śmiech, jaki dreszczem przejął me ciało.

Zdziwiony skierowałem me kroki w stronę, zkąd dochodziły mię głosy.

Obok drewnianej kapliczki, pod krzakiem bzu, stał dziad cmentarny nad świeżo wyrytą mogiłą i gniewnie groził pięścią, kryjącej się przed nim kobiecie.

— Cóż wam zawiniła ta kobiecina? — zapytałem zdziwionego moją obecnością grabarza.

— Bo to, skaranie boże, z tą babą przeklętą — rzekł z gniewem, patrząc na mnie z ukosa i począł zbierać na jedno miejsce porozrzucane, świeżo wydobyte z ziemi, kości ludzkie.

— Przeszkadza wam, widać, w zajęciach? — badałem dalej, niezrażony jego gburowatem obejściem.

— At!... przeszkadza — nie przeszkadza, ale

codzień trzeba się z nią jak z wilkiem, nie przymierzając, uganiać. Trzecie już lato idzie, jak ją „złe opętało," na biedę ludziskom.

— A możnaż z nią pomówić?

— Nie wiem; spróbujcie.

To rzekłszy i mrucząc jeszcze coś pod nosem, skierował się z łopatą na ramieniu ku wyjściu.

Odprowadziwszy go wzrokiem do bramy cmentarnej, zwróciłem się w stronę, gdzie ostatni raz mignęła mi przed oczyma sylwetka „opętanej."

U stóp pochylonego krzyża, skulone we dwoje, siedziało coś, do wiedzmy raczej podobne, aniżeli do ludzkiej istoty.

Trudno wyobrazić sobie coś straszniejszego nad żyjący szkielet, przyodziany łachmanami, przez które wyglądały na świat przerażające nagością swoją członki.

Na szelest, sprawiony mojem nadejściem, nieszczęśliwa nie drgnęła nawet: — z głową, wspartą na chudej, czarnej ręce, siedziała ona nieruchomie, patrząc szklistemi, głęboko zapadłemi oczyma, — w dal.

Z głowy, obwiązanej strzępkami chustki, nieokreślonego koloru, spadały na brunatną od słońca szyję płaskie kosmyki siwych włosów, niezapięta zaś koszula odkrywała brudną, suchą pierś... tę rozkoszną pierś kobiety — która teraz wstręt tylko i odrazę budziła.

Jej twarz, pofałdowana i zwiędła, z wysuniętym naprzód płaskim półbródkiem, z szerokiemi sinemi usty i dzikim wyrazem oczów, tyle miała w sobie idealnej brzydoty, że mimowolnym strachem zdjęty, długo stałem na miejscu, nie mogąc znaleźć słowa do zawiązania rozmowy.

— Nie śpiewacie już, mateczko? — spytałem łagodnie.

Stara drgnęła, sporzała na mnie błędnemi oczyma i znów zapadła w poprzedni stan odrętwienia.

Powtórzyłem pytanie głośniej.

— Głupiś — rzekła ponuro — czegoż śpiewać, kiedy Jasiulo już usnął? Cha, cha, cha! śpi dziecinka... śpi moja jagoda, a robaczki oczęta wyjadły.

— Biedna matko! więc wam umarła dziecina? — pytałem dalej ze współczuciem.

Głos mój podobał się jej widocznie, bo popatrzyła na mnie uważniej, a ręką poczęła trzeć czoło, jakby chcąc zebrać rozproszone myśli.

Wzrok jej padł niespodzianie na moją laskę i na jej widok porwała się nagle z ziemi, z widocznym zamiarem ucieczki.

— Nie bójcie się! ja wam nic złego nie zrobię — zawołałem, odrzucając na bok przedmiot jej obawy.

To ją uspokoiło.

Usiadła na dawnem miejscu, uparcie badając mnie oczyma.

— Czy wam bardzo żal Jasia?

Wymówione przezemnie imię jej dziecka zelektryzowało ją: skoczyła na równe nogi, przysunęła się bliżej, tak, że zgniły jej oddech muskał mnie po twarzy i poczęła trwożliwie oglądać się dokoła.

— Cicho! — rzekła, chwytając mię za ramię — bo on przyjdzie i mnie i ciebie wybije. A ciebie szkoda, tyś dobry, znałeś mojego Jasia. Prawda, jaki to był śliczny kwiatuszek? Chodź, zobaczysz go teraz. Tylko nie mów nikomu, boby on mnie i ciebie wybił. Chodź!

Porwała mnie silnie za rękę i mimowoli pociągnęła za sobą.

Pod samem ogrodzeniem cmentarnem, w najciemniejszem i mało dostępnem miejscu zatrzymaliśmy się oboje.

Tu puściła mą rękę i, schyliwszy się, poczęła gorączkowo odgarniać gromadkę suchych gałęzi; potem podniosła kawał darniny i odchyliła spróchniałą już deskę.

W niewielkiej trumience spoczywał nagi szkielet dziecięcy.

— Moja ty jagodo kochana! moja gwiazdko na niebie! mój kwiatuszku najśliczniejszy! — pieszczotliwie szeptała nieszczęśliwa.

Wzięła ostrożnie białą czaszkę i tuląc do łona, poczęła namiętnie całować.

Szał jakiś ogarnął całą jej istotę; zapomniała o wszystkiem, zapomniała o mnie, niemym świadku tej przerażającej sceny.

Pomieszane głosy ludzkie otrzeźwiły ją zupełnie; trzymaną trupią główkę złożyła czemprędzej do trumienki, zakryła wiekiem, przywaliła darniną i nałożywszy na wierzch gałęzi, w mgnieniu oka znikła gdzieś w gęstwinie.

Ta scena, pełna wzruszającej do głębi duszy dramatyczności, odegrana w ponurem otoczeniu cmentarnem i czarodziejskie niemal zniknięcie nieszczęśliwej oszołomiły mnie zupełnie.

Z sercem, ściśniętem od żalu i litości, opuszczałem to miejsce, gdzie przed oczyma długo jeszcze stała biedna, obłąkana matka, z szalonemi objawami gorącej macierzyńskiej miłości.

* * *

Grabarz hałaśliwie zamykał kaplicę cmentarną, gdzie na marach złożono świeżą ofiarę śmierci.

Zobowiązany skromnym datkiem, na pytanie moje, co do przeszłości obłąkanej, opowiedział tragiczny z jej życia epizod, od jakiego datuje się „opętanie przez złego ducha."

Śmierć męża, właściciela nędznej chatki, do której przylegał kawałek wydmy piaszczystej, pogrążyła ją w okropną nędzę, jaką dzielić musiała z dwojgiem osieroconych dziatek.

Obowiązki te podyktowała jej miłość macierzyńska, a śmierć towarzysza życiowej pielgrzymki dodała jej energii i wytrwałości ku zapewnieniu im smutnej egzystencyi.

Biedna wdowa od świtu do zmierzchu pracowała na utrzymanie sierot.

Dzieci, codziennie prawie pozbawione jej nadzoru, pozostawione same sobie, chodziły brudno i w

obszarpanem odzieniu.

Janek, pięcioletni chłopiec, pełnił w czasie nieobecności matki obowiązki przybocznego opiekuna przy swej dwuletniej siostrzyczce.

Jednakże wbrew wyraźnym rozkazom, najczęściej lekkomyślny opiekun bujał sobie swobodnie w gronie swych rówieśników, gdy małe biedactwo jego opiece powierzone siedziało samo pod ścianą lub w izbie, śpiąc, jedząc i płacząc naprzemian.

I wlokło się to tak dalej, bez żadnego wypadku.

Wypadek niespodziewany przyszedł zupełnie z innej strony, w postaci dziwnej jakiejś choroby, której ofiarą nasamprzód padł Janek.

Nie pomogły zażegnywania, nie uleczyła kreda święcona, więc umarł.

Choć z bólem serca biedna matka musiała pogodzić się z tą smutną koniecznością, i, o ile na to starczyły fundusze, pogrzebała drogie zwłoki swego dziecka.

Niewidzialna jakaś siła chciała widocznie ulżyć matce ciężaru, bo oto w trzy miesiące po tym wypadku umarło znów drugie dziecko, a tym razem i ostatnie.

Te trzy, wkrótce po sobie następujące ciosy dla innej kobiety byłyby może nad siły, ale Szymonowa, jak każda kobieta z ludu, w charakterze swym posiadała wiele hartu męzkiego.

Chociaż widziała przed sobą straszną pustkę, otarła parę razy fartuchem cisnące się do oczu łzy i poczęła myśleć o oddaniu dziecinie swej ostatniej posługi.

Nie mogło jej to przyjść zbyt łatwo, bo w płóciennym woreczku, za obrazem, znalazła całego majątku.. dziesięć groszy, w obec których myśl o przyzwoitym pogrzebie dziecka przechodziła w krainę fantazyi.

Na prośby jej wzruszano obojętnie ramionami.

Nie namyślając się więc długo, wzięła pod pachę trumienkę i udała się z nią na cmentarz.

Tu pamięć i instynkt zaprowadziły ją do świeżej jeszcze mogiły pierwszego dziecka.

Porwawszy za pozostawioną przez grabarza łopatę, poczęła gorączkowo kopać tuż przy mogile Jasia.

Głuchy odgłos zapewnił ją o blizkości trumienki, a echo tego odgłosu dziwnie musiało się odbić w sercu biednej matki, bo w jej umyśle zrodziła się nieprzezwyciężona chęć oderwania wierzchniej deseczki i obejrzenia oblicza kochanego dziecka swego.

Co dalej się stało, niewiadomo, gdyż nazajutrz dopiero oczom przybyłego grabarza przedstawił się straszny widok: na ziemi stały obok siebie dwie trumienki, z których jedna, dawniejsza, była odkryta, a w niej nadpsute już ciałko chłopca.

Twarz biednej dzieciny miała na sobie ślady strasznej męczarni i bezskutecznej podziemnej walki, jedna rączka była zaciśnięta w ustach, a w drugiej tkwił kawałek oberwanej z siebie szmaty.

Pochylona nad trumienką siedziała nieszczęśliwa matka, nucąc ochrypłym głosem wesołe piosenki.

— Pan Bóg ukarał ją za to, że naruszyła spokój jednego dziecka, a drugiego „nie chciała“ po chrześcijańsku pochować — zakończył grabarz, i prosząc o zachowanie tego w tajemnicy, powlókł się powoli ku domowi.

Pieśń pracy.

Na dział! Na dział!
Na ornej ziemi dział!
Tam wiedźmy pług słonecznych dróg,
Tam płaćmy wielki ojców dług,
Dziedzice klęsk i chwał!
A nasze klęski — to tych pól
Martwota stara, stary ból,
Krzywd starych zmierzch i noc...
A nasza chwała — w światło ruch,
A nasze hasło — bratni duch,
A miłość nasza — moc.

Na łan! Na łan!
Na ornej ziemi łan!
Tam ducha wiew, tam jutra siew,
Tam poty nasze, nasza krew,
Tam tryumf nam jest dan!
A wrogi nasze — nędza, cień,
A bronie nasze — chleb i dzień,
A sztandar — żywy trud...
A pole nasze — duchów bój,
A szańce nasze — pracy znój,
A tryumf — bratu lud!

Marya Konopnicka.

ROZMAITOSCI.

Nagrobek.

Pewien pan, po śmierci swego służącego, postawił mu nagrobek z napisem:

„Tu leży mój wierny parobek Marcin.“

Ktoś złośliwy dopisał:

„Gdyś plac szpecił tym nagrobkiem,
On już nie był twym parobkiem,
Ani też ty — jego panem,
Więc go w nos pocałuj. Amen.“

W szkółce.

Nauczyciel: — Bosacki, powiedz mi jak się dzieli taar na mniejsze części.

Uczeń: — Nie wiem.

— Jakto, nie wiesz? Jak ojciec przynosi w sobotę wieczor talary za robotę, więc zmienia na drobne i dzieli.

— Ojciec wcale nie dzieli, bo matka wszystko zabiera.

Matka (wybiwszy małego Kostka): — Nie pamiętasz to, co powiedział mędrzec Salomon: kto dziecko swoje kocha, ten je karze?

Kostek (z płaczem): — Gdy Salomon był jeszcze małym chłopcem, to zapewne tak nie mówił.

W miejscowości kuracyjnej.

— Zdrowe tu u was powietrze?

— Ho!.. jeszcze jak! Kiedy tu przyjechałem do służby, ważyłem 50 funtów, a dziś ważę 110.

— Proszę... A dawno tu jesteś?

— Osiem lat. Miałem wtedy 10, a dziś mam 18.

Dwuznaczne życzenie.

A. — Więc pan został urzędnikiem we fabryce prochu.

B. — Tak jest.

A. — Hm, to pan z pewnością kiedyś wysoko zajdzie.

Poczciwiec.

— Całą niedzielę przesiadujesz w karczmie, a w poniedziałek bijesz żonę i dzieci.

— Tak, bo niedzielę poświęcam dla siebie, a poniedziałek rodzinie.

Nasze ryciny.

Obrazek pierwszy u góry: „Napad w górach.“

Obrazek drugi u dołu: „Nareszcie sami.“





Nakładem i drukiem Fr. Chociszewskiego w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny Franciszek Lazarkowski w Poznaniu.